

4. NASZA NĘDZA.

Lwów, 6 października 1906.

Dziennikarz miewa chwile zwątpień; nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe. Zwątpienie wszakże ludzi żywotnych (a do takich dziennikarze należą) są przelotne. Wystarczy chwila głębszego zastanowienia, aby się pocieszyć; należy tylko od szczególnej sytuacji, w jakiej się umysł pod wpływem zwątpienia znalazł, przenieść się szybko na jedno z tych wysokich stanowisk filozoficznych, z których nie widać już kwestji, jakby każda była zerem. Wszystko jest ostatecznie drobnostką wobec wieczności. Ale jeszcze jest lepiej zejść z takiej wyżyny inną stroną, niż się weszło i po drodze uszczknąć na jednym ze wzgórków poznania odmienną miarę tejże rzeczy, która stała się przedmiotem poznania.

Więc np.: czy warto oddawać duszę robocie

dziennikarskiej, czy moi bliźni (rodacy) mają z tego odpowiedni pożytek? Wydaje się czasami, że nie słyszą, co im się mówi, bawią się tem, w co życie się kładzie. Może nie warta gra świeczki...

To jedna strona. A ktoś powie: Nie trzeba wątpić o sobie. Wszystko, w co opatrność dziejowa ludzi opatrzyła, jest jak płód natury. Wszystko ma swoje przeznaczenie i musi być pożyteczne, skoro jest. Pamiętacie, jak to było w dzieciństwie? Zdawało się wam, że te lub inne stworzenia są zbędne, nawet szkodliwe. A to nieprawda. Krety, gdyby wiedziały, jak są potrzebne, nie chowałyby się ze wstydu pod ziemię. Bo pospolicie się nie wie, że stworzenia te są pożyteczne — tępią owady itd. Nauka jest bezinteresownym adwokatem wszechstworzenia. Pomyślcie więc, czy i dziennikarstwo nie ma jakiej dobrej strony.

I oto gdy się już zdawało, że wszystko stracone, duszę napawać zaczyna jutrznia otuchy. Pomyślmy tylko dobrze, coby znaleźć na obronę dziennika, a pewno coś się znajdzie. Skoro już sprawa pożytku duchowego stracona, pomyślmy, czy dziennik nie jest przypadkiem potrzebny dla zdrowia fizycznego. Czemś przecie trzyma się on życia, jeśli istnieje. Może on ciału potrzebny?

Wtedy zjawia się lekarz hygienista po tamtej stronie interesującego nas zagadnienia i, poprawiwszy okulary, rzecze:

»Mówię to z całą rozważą, że gazeta ze wszystkimi swemi błędami, jest jedną z opok dla utrzymania naszego zdrowia w czasach obecnych. Stanowi środek przeciwdziałający rozstrajającej nerwy pracy dla celów samolubnych; nadaje krótkowidzom szerokie widnokreśli... Jest w swoim tragizmie i w komizmie swoim prawdziwa i rzeczywista, gdy romans to tylko złudzenie. Przynosi nam krótkie urywki życia w postaci gawęd. Dostarcza tuzina bohaterów. Daje łatwo strawny pokarm duchowy... Niejeden tylko dzięki swojej gazecie został od melancholji uratowany. Gdybyśmy chcieli znieść gazety, musielibyśmy powiększyć jednocześnie domy dla obłąkanych«.

Do takiego wniosku doszedł jakiś hygienista Anglik — sir Jakób Crichton Brown. Niech mu Pan Bóg da zdrowie!

Piszmy więc i czytamy! Teraz dopiero rozumiem, dlaczego szpital w Kulparkowie jest przepełniony: za mało czytujemy dzienników. A może dzienniki nasze są »niehygieniczne«? Może dają pokarm niestrawny? Może za mało dostarczają bohaterów? Może je czytamy jak romans, nie jak prawdę — i dlatego Kulparków przepełniony? Kto temu zresztą winien: dziennik, czy życie?

Dla człowieka ciekawego żadna rzecz dla niego nie ma. Zróbmy więc gdzieś punkt i mówmy o czem innem, już nie o dziennikarstwie, lecz o życiu sa-

mem, które — jak słusznie higienista angielski zauważył — nie jest romansem.

— — — — —

Bo co to za romans, którego głównym wątkiem jest np. drożyzna? Dzisiaj, żeby jeść mięso, trzeba być chyba socjalistą z Królestwa, gdzie się już równy podział dóbr dokonywa. We Lwowie zwyczajny »burżuj«, utrzymujący się, jak wiadomo, z płacy skarbowej, gdyby chciał żywić rodzinę mięsem, nie miałby już za co nabyć wykałaczek, tak niezbędnych po dobrem jedzeniu. Uciążliwość drożyzny jest tem tragiczniejsza, że w znacznej części nie jesteśmy panami swoich dochodów: dochody są zbyt stałe jak mur, a wydatki zbyt ruchome; coraz przyciskają nas do muru, aż kości trzeszczą.

Nieszczęsna dola ludzi, którzy nic nie wytwarzają i nic nie oszczędzają, a nawet pracować nie umieją. Ci są właśnie, którzy myśleli, że życie jest romansem. Oni to czytają dziennik jak romans, a romans jak żywą prawdę. A tych jest u nas więcej, niżby normalne społeczeństwo dźwignąć mogło.

Dziennikarz, jak nowożytna Hestja strzegący świętego ognia optymizmu, gotów i w tym wypadku znaleźć pociechę, bo niema tego złego, co by na dobre nie wyszło. I drożyzna jest pożyteczna, niszczy bowiem pewne bakterje ekonomiczne.

Dla równowagi budżetu można zniżyć rozchód, można też podnosić dochody. Byłoby dobrze mieć się teraz z rolnikiem na produkcję: on mi daje drogie artykuły spożywcze, a ja mu dam drogo produkt fabryczny. Byłaby równowaga w naszym budżecie miejskim. Ale my nie mamy nic do wymiany, nie mając przemysłu. Ktoś gdzieś, jakiś Czech lub Niemiec dokonywa u nas tej wymiany za naszymi plecami, a my płacimy coraz drożej i za produkty roli i za produkty fabryczne. Podnoszący się coraz wyżej poziom cen zalewa nas, jak dziurawe łódzie.

Są to impresje drożyzniane dziennikarza, który także niema się czem mścić na rzeźniku; jego dochody (i cena prenumeraty) również nie rosną w takim stosunku, jak ceny mięsa; ale on rozumie położenie urzędnika galicyjskiego, któremu rząd nie podnosi płacy w miarę wzrostu drożyzny lub robotnika, któremu organizacja zawodowa nie da zarabiać więcej, jak zarabia towarzysz najmniej zdolny.

— — — — —

Trzyma nas w niewoli nędza. Nędza kraju? Nie! Nędza pracy naszej; kraj jest bogaty w przyrodzeniu swoim. Tylko rewolucja może nam pomóc, mianowicie rewolucja pojęć o życiu. Dziś jest ono romansem austriackim, kiepskim romansem, któremu, mówiąc po dziennikarsku, szkoda

poświęcać wszystkich szpalt dnia. Pójdzie to z czasem na odcinek życia, jako wspomnienia czasów niewiarogodnych, a jednak historycznych. Życie swoje nowe zapełnimy twórczością samodzielną na wszystkich polach pracy ekonomicznej i społecznej. Jednym z takich rewolucjonistów, walczących z układem stosunków i obyczajów myślenia w kraju, był Szczepanowski. Jego romantyzm ekonomiczny miał to wspólne z dawnym poetyckim, że dążył do tworzenia życia swoistego, że rozbijał skorupę obcą, naleciałą, pod którą marł puls życia narodowego.

On to tworząc nowe życie, stworzyć chciał równoległe nowy dziennik, aby wyobraźni ogółu otworzyć oczy na »szerokie widnokregi« pracy samodzielnej, dostarczającej »tuzinami bohaterów«. Ale walka była nierówna. Padł; zaszczepił wszakże pożądaną ekonomiczną, pozostawił pokoleniom testament, w którym krwią doświadczeń wypisano, że dla rozwoju życia prawdziwego w Galicji potrzeba przede wszystkim wyrzec się słodczych romansu wiedeńskiego.

Jak od neurastenji (wedle hygienistów) ratuje nas czytanie dziennika, przez który, jak przez okno, widać bujne, różnorodne życie, — tak od melancholji społecznej, od zwątpienia o siebie, od uwiadu narodowego uratować nas może jedynie udział w żywej, własnej twórczości na wszystkich polach.

Nasza egzystencja przypomina kobietę; niema w sobie męskości, która jest główną cechą indywidualności narodów. Galicja, jak anemiczna panna, zatopiła w zamężciu nazwisko, osobowość, majątek (bez interczyzy!) — i dobrze jej z tem — p. G. Alicja Wiedeńska...

Obecny zjazd górników dostarczy dowodów, ileśmy zarobili na nafcie, którąśmy Austrii w posagu przynieśli. Zdaje się, że nie więcej jak 10 procent tego, co zarobili na niej rząd i rafinerzy obcy. Za te 90 procent mamy trochę posad w biurach, w biurach coraz liczniejszych, coraz więcej sportrzebywujących papieru i atramentu — oczywiście obcego wyrobu. Znam wielki majątek, oddany kupcom leśnym w dzierżawę za bezcen dlatego tylko, że dwaj właściciele, otrzymawszy go po ojcu rolniku w spadku, byli na urzędach (w starostwie i w sądzie) i »powołanie« nie pozwoliło im zająć się majątkiem. Jakże istnieć bez płacy rządowej!

Co tu mówić o tworzeniu przemysłu, choćby rolnego, o obronie honoru swojej twórczości, kiedy my dla obroży poświęcimy sam warsztat, ziemię świętą. Do stworzenia przemysłu samodzielnego potrzeba mieć nie tylko majątek, ale duszę samodzielną, bo to jest twórczość. Jako dobro krajowe, przemysł może być wytworzony współdziałaniem wszystkich. Niepodobna przecież utrzymać fabryki, obliczonej na spożycie miejscowe, wbrew woli

mieszkańców, zwłaszcza wbrew woli pośredników handlowych.

Opowiadał mi pewien fabrykant lwowski, jak systematycznie bojkotują go kupcy miejscowi. Nie chodzi im o cenę, o dobroć cukierków, o opusty — honor sklepu »porządnego« nie pozwala na trzymanie jakichś wyrobów miejscowych. Dobry ton — cukierki Hellera! Czy nie romans? Romans, bo spożywca polski kocha się we wszystkim, co wiedeńskie — cukierek lub mydło wiedeńskie potrzebne są jego sercu, jak pukiel włosów kochanki. Dla kupca to fakt realny, z którym się musi liczyć. Na jakimże innym popędzie spożywców się oprze? Na ambicji narodowej? Pani G. Alicja Wiedeńska, faworyta austriackich rajsenderów, nie ma swoich popędów, jest całkowicie bierna, a co się z nią dzieje, to już jest sprawą popędów cudzych.

Dowadywałem się w pewnej fabryce, idącej przebojem przez nasze życie ekonomiczne, które koniecznie chce być romansem. Dopóki szpitalom naszym dostarczały materiałów opatrunkowych fabryki obce, aptekom naszym, ani się śniło jej bojkotować. Odkąd jednak fabryka lwowska wzięta się do fabrykacji tych materiałów, nastrój się zmienił; obecnie istnieje między aptekami tajne porozumienie bojkotowania fabryki za wszelką cenę.

Niedawno zażądałem w jednej z największych

aptek pewnego artykułu fabryki miejscowej. Dano mi obcy wyrób. Gdym zaprotestował, znaleziono czego żądałem, ale kazano mi zapłacić o 50⁰/₀ drożej, niż fabryka na to pozwala. A ile przytem naskładano zapewnień i zaklęć, że fabrykat zagraniczny jest lepszy!

Znam wypadek, że przemysłowiec miejscowy oddawał do handlu wyrób bezspornie dobry z opustem 50⁰/₀, a jednak odrzucono go, aczkolwiek fabrykant z Opawy dał tylko 26⁰/₀. Ileż to ofiar kupiec ponieść musi dla zasady popierania wyrobów obcych! Nie zawaha się on popełniać fałszerstwa, aby tylko towar obcy przemycić. Sprzedają więc kupcy za swoje wyroby budapeszteńskie, czeskie, wiedeńskie, nalepiając na towarze niemieckim etykiety z napisem: »wyrób krajowy«, a nierzadko dla zamaskowania prawdy, a dla zaspokojenia zdawkowego sentymentalizmu etykiety z wizerunkiem herbu polskiego, lub napisem »Polonia!« Cyniczne wyzyskiwanie anemicznego patryjotyzmu, okropne świadectwo dla kupiectwa naszego, które zawsze przodowało poczuciem obywatelskiem.

— — — — —

Nie będę mnożył przykładów — odkładam je do innej sposobności, a może wtedy dla większego ożywienia dziennika wymienię firmy z nazwiska. Chciałbym, idąc za radą higienisty angielskiego, aby dziennik chronił was, czytelnicy, od

neurastenji, żeby »przeciwdziałał rozstrajającej nerwy pracy dla celów samolubnych«, »przynosił krótkie urywki życia w postaci gawęd«, a zwłaszcza żeby wam dostarczał »tuzinami bohaterów«. To jest potrzebne wam dla zdrowia i to mnie obowiązuje.

